22. Kwietnia. **Nr. 25.** 1868 roku.

Wychodzi 1., 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)
Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

(Ciąg dalszy.)

Pomiędzy niewolnicami haremu, na którego zgliszczach siedzimy teraz tak spokojnie, najpiękniejszą, jak twierdzono, była Sara. Ojciec jej był Rabbim w Damaszku i krył ją starannie od pożądliwego wzroku ludzi, twarz jej tylko kwiatom i słońcu pokazując. Toż dużo słońca było w pałacych oczach Sary i dużo barw kwiecych na owalu jej twarzy. Sara wiedziała, że po za wysokim murem ich ogrodu nie zaraz jeszcze świat się kończy, ale była pewną, że za jej ogrodem rozciągają się tylko inne ogrody, a w każdym z nich żyje istota do niej podobna, i ten szereg ogrodów zapewne idzie w nieskończoność, albo się kończy tam, gdzie niebo już ziemi dotyka. Sara nie wiedziała o tem, że ziemia nigdzie nieba nie dotyka, że niebo chociaż się nachyla ku ziemi, to zawsze jednak tak ostrożnie, ażeby go nikt nie mógł dotknąć i powalać... Sara o tem nie wiedziała, bo jej nikt tego jeszcze nie powiedział. Zresztą Sara nie biegła myślą aż na krańce ziemi; Sara była zupełnie zadowoloną ze swego kwadratowego ogrodu, który był wysokim białym murem z czterech stron otoczony, a u góry błękitami nakryty. Tam tyle miejsca było w tym ogrodzie! tyle kwiatów, tyle zieloności!... Sara nie mogła się nadziwić mrówkom, że te trzymały się pewnego drzewa, pewnej małej przestrzeni, kiedy ona zwijała się i biegała po całym ogrodzie. Czasami zrywała róże i wplotłszy je we włosy, uciekała od motyla lub pszczoły, za miodem i słodyczą goniącej. Czasami kładła się na kamieniu pod winnicą, i twarz w słońcu skąpaną podnosiła do góry ku winnym gronom, od promieni słonecznych nabrzmiałym, i schwytując ustami jagodę po jagodzie wysysała z nich słodycz i słońce. Sara istotnie jeśli nie była córką słońca, to przynajmniej jego wychowanką. Słońce było dla niej karmicielką, piastunką, niańką; i od częstego głaskania tej piastunki, płeć Sary stała się smagłą. Na tej smagłej twarzy kwitły dwie róże ogniste, piękniejsze od tych, które Sara we włosach nosiła, najpiękniejsze ze wszystkich jakie tylko kwitły w Damaszku.

Stary Rabbi był rad z siebie, że umiał ten kwiat tak cudownie wypiastować i zachować od niszczących wiatrów, od niszczących spojrzeń i zabiegów. Sara już całych lat piętnaście skończyła, już piętnaście razy słońce zamierało, chłodło i rozpalało się nad głową Sary; Rabbi już zaczął myśleć o małżeństwie dla córki, ale ciężko mu było wtajemniczać kogoś w domowe bogactwo swoje, najciężej mu było rozstać się z tym skarbem utajonym. Więc Rabbi odwlekał, a Sara zrywała róże i ssała winne jagody.

Rabbi źle robił. — W Damaszku wybuchł pożar, jeden z największych jakie kiedykolwiek Damaszek nawiedzały. Widziano anioła, wysłańca Bożego, jak z czerwoną pochodnią płynął od zamierzchłych niebiosów, i w jednej chwili całe miasto, jak gromnicę, zapalił. Damaszek zawrzał i zakręcił się, jak mrówisko, kiedy weń rzucą kamieniem, a anioł, rozumie się zapaliwszy miasto, odleciał napowrót do tronu Jehowy, gotów po małem odetchnięciu do wypełnienia nowych posyłek i nowych rozkazów swojego Pana.

Dom Rabbi'ego spalił się także; w ogrodzie Sary spopielały róże, a winnica uschła i stlała.

Rabbi nie sarkał i nie narzekał na Pana; Rabbi spostrzegł dopiero, że był przedtem nadto szczęśliwy, aby mógł należycie pamiętać o Panu, i że zatem cios, który go spotykał, był nieodzownym i zbawiennym. Przeciwnie, Sara przelękła się bardzo i dopytywała się ojca z wielkiemi od strachu oczyma, czy to nie jest właśnie ów koniec świata, o którym on jej wspominał kilkakrotnie. Rabbi upewnił Sarę, że to nie jest jeszcze koniec świata, że to jest tylko znak gniewu Bożego, który potrzeba umartwieniem i skruchą przebłagać. Nie uspokoiło to Sary całkowicie, Sara bowiem nie poczuwała się do żadnego grzechu, i lękała się nieusprawiedliwionej niczem zapalczywości Jehowy.

Rabbi postradał wszystko, ale została mu Sara. Rabbi dopiero wtedy poczuł błogosławieństwo Boże nad sobą, i siedząc na zgliszczach własnego domu, obok córki znużonej bezsennością i trwogą, zwrócił się do niej i powiedział:

— Przedewszystkiem teraz chwalę rękę pańską, bo mi ukazała jaki skarb posiadam w tobie, jedyna moja. Oto mię nie smuci wcale pożoga, ani mię martwią spalone kobierce alkowy mojej, ani pragnę szukać piastrów moich, co w worze zamknięte musiały się stopić w żuzle i leżą pod popiołami. Na prawej ręce wyniosłem Talmud, na lewej Sarę moją i jestem dopiero prawdziwie szczęśliwy. Teraz ty zwiń się u nóg moich i zaśnij, a ja się w księgę zapatrzę, ażebym z niej wyczytał, czego chce od nas Pan i dokąd nam pójść każe.

Sara zwinęła się u nóg ojca i zasnęła, Rabbi zapatrzał się w księgę.

Był to poranek. Słońce wstawało nad wypalonem miastem i oświecało szczerbate ruiny i zgliszcza dymiące się jeszcze. Na dalszych ulicach słychać było zgiełk i lament pogorzelny, ale koło domu Rabbiego cisza była i spokój grobowy. Na tę spokojną ulicę wjechał Pasza Damaski konno, otoczony hufcem pieszej straży — spahów.

Pasza wracał z przeglądu pogorzeliska, któremu się przypatrywał był z obojętną ciekawością. Toż i teraz Pasza jechał obojętnie patrząc przed siebie. Spahowie biegli przynim szybko, ażeby zrównać biegowi konia. Kiedy przejeżdżali koło zgorzeliska Rabbiego, Pasza rzucił okiem na śpiącą Sarę, która ułożywszy się u nóg ojca, głowę wsparła o jego kolana z twarzą ku niebu rannemu zwróconą. Wschodzące słońce, które oświecało zgliszcza i ruiny, oświeciło także śpiącą twarz Sary. Słoneczne jej oczy wprawdzie zakrytemi były, ale zato usta roschyliły się nieco i pokazywały dwa rzędy białych, jak kość słoniowa, zębów. Pasza nie mógł oderwać raz już rzuconego wzroku od Sary, i ujechawszy nieco naprzód kazał zatrzymać konia; potem w krótkich, spokojnych wyrazach dał jakiś roskaz spahom. Spahowie, jak koty dzikie, poskoczyli zwinnie i cicho ku śpiącej Sarze tak, iż Rabbi zapatrzony w księgę nie widział ich zbliżających się, i chwyciwszy ją w jednem mgnieniu oka na ramiona unieśli pędem do Paszy. Zbudzona porwaniem Sara wydała krzyk wielki, ale krzyk skonał zaraz zatamowany. Pasza ze spokojnem zadowoleniem spojrzał na wracających Spahów i na ofiarę swoją i pojechał dalej nie pobudzając konia do szybszego biegu.

Rabbi nie widział jak się spahy podkradali do Sary; Rabbi ujrzał już ją na ramionach wydzierców i to w chwili, kiedy cała trzepocąca się wydawała krzyk silny i ostry. Rabbi zerwał się z kamienia, wypuścił z rąk Talmud na ziemię, chciał biedz za unoszoną, ale nie mógł, bo zesztywniał, osłupiał, i nieruchomy wzrok wbił przed siebie. Po chwili kolana mu się podgięły, zachwiał się i padł na ziemię, tłukąc o kamienie głową — Rabbi nie żył.

Piękność Sary zadziwiła Paszę Damaskiego; Pasza nic nie wiedział, iż w jego paszaliku była tak piękna Damascenka. Pomyślawszy głęboko i poważnie, wziąwszy na uwagę niezupełnie przychylne usposobienie dla siebie rządu, postanowił Pasza ofiarować Sarę Padyszachowi i wysłał ją pilnie strzeżoną do Stambułu.

W ten sposób Sara dostała się do haremu sułtańskiego; do tego haremu, na gruzach którego siedzimy. Znano ją tutaj pod nazwą Damascenki. A ta nazwa należała się jej dwa razy: naprzód na mocy pochodzenia z Damaszku, powtóre na mocy podobieństwa do damasceńskiej stali, do szabli damascenki. Sara bowiem z naiwnego, gołębiego dziewczęcia naraz się stała kobietą hartowną, przebiegłą, przewidującą, gotową ugiąć się do samych nóg przeciwnika, ażeby go potem trafić w samą głowę. Sara prędko się dowiedziała, że nie z samych ogrodów świat się składa, że są tam i dzikie zarośla i bagna i krwi kałuże. Sara prędko postrzegła, że ziemia z niebem się nie styka, a że jest każde z nich dla siebie samo.

Trudno powiedzieć, gdzie i skąd się Sara dowiedziała tego wszystkiego? Najprawdopodobniej dowiedziała się tego wszystkiego nagle w jednem mgnieniu oka, w chwili, kiedy wydając ogromny krzyk przerażenia, uczuła na rozwartych ustach szorstką i spieczoną dłoń spaha.

W haremie Sara chciała wiedzieć tylko o jednej rzeczy: co się stało z jej ojcem? i czuła jeden tylko popęd silny, niepohamowany, a była nim zemsta. Sara nie wiedziała właściwie zaco ma się mścić, i na kim ma wziąć pomstę, ale czuła, że dokonano na niej niesprawiedliwości, i że dokonali tego muzułmanie. Więc w Sarze objawiło się nowe uczucie, uczucie nienawiści do muzułmanów, do wszystkiego, co do nich należało, i do Tego, do kogo oni należeli — do ich Boga.

O śmierci ojca umiała się Sara dowiedzieć, i nienawiść jej znalazła twardą, kamienną podstawę dla siebie, w tem wspomnieniu. W długich godzinach haremowej nudy roiła Damascenka o sposobach zemsty, ale wszystko wydawało jej się błahem lub niedostatecznem. Jeden tylko obraz dorównywał trochę pożądaniom jej zemsty: był to obraz Damaskiego pożaru. Sara zapragnęła być owym groźnym aniołem z purpurową pochodnią w dłoni, spływającym z błękitów na zagładę ziemi.

Ta myśl utkwiła w niej głęboko. Ale jak to wykonać, ażeby próba nie była bezowocną? Sara postanowiła czekać, i wyglądała sposobności, którąby pod jej mściwą dłoń podpadła.

Za Stambułem są rzeczne kąpiele, a nazywają się słodkie wody. Tam haremowe huryski jeżdżą czasami pod baczną strażą do kąpieli.

Sara lubiła tam jeździć sama, lub we dwie, w towarzystwie mulatki Manari. Manari miała oczy gazelli, i była tak dobrem stworzeniem, że gniew na jej twarzy nie mógłby znaleść rysów dla siebie. Manari całą duszą przywiązała się do Damascenki, i wszystką wolę swoją złożyła w jej ręce. Całe godziny przesiadywała u nóg Damascenki, pozwalając jej bawić się kapryśnie z ciemnemi pierścieniami swoich włosów. Na jedno jej skinienie, gotowa była wszystko zrobić co mogła; wprawdzie mogła bardzo nie wiele. Manari była niewolnicą duchową Damascenki; lękała się jej surowego wzroku, jej zadumy nawet. Za to za uśmiech wesoły i przyjaźne spojrzenie rzucała się jej do nóg, i drobne stopy Sary okładała pocałunkami.

W karetce małej, jak latarnia oszklonej, a złoconej jak pudełeczko jechała raz Sara z Manari do wód słodkich. Obok karetki szedł anioł-stróż haremu, rzezaniec i popędzał konia. Przez rzadkie welony, oczy huryski patrzały ciekawie w szkła przeźroczyste, a przez szkła w świat tak nowy, tak nieznany, i uroczy — i zazdrościły wszystkiemu, co rosło, chodziło, lub też bujało nie na uwięzi. Przynajmniej w oku Damascenki widać było zazdrość i pragnienie powietrza. Manari zaś chciała tego, czego chciała Sara, jej pani, i bez niej nie mogła sobie wyobrazić szczęścia.

Widok swobodnie lecącego kruka, spuszczającego się na ziemię nabawił radością huryski. Nawet posępna Sara rozciągnęła skupione usta swoje do wesołego śmiechu, a Manari podniosła się, by rzucić się jej do nóg i ucałować jej stopy za ten śmiech wesoły, ale nie znalazła ku temu miejsca i usiadła nieco smętna na dawnem miejscu.

(C. d. n.)

Atamańska mogiła.

Leci stepem siry orzeł i kracze; na mogile wiatr ukraiński suszy stare kości, a u podnóża siadł ślepy kobzarz i śpiewa dumkę burzanom i stepowemu kwieciu.

Hej! ta nutaż to Bojanowa! niby caryca stepów płynie rozłogiem; chwyta się traw i kwiecia, uczepi mogił wysokich, i ztamtąd już leci w niebo, by i tam ją posłuchano.

Kracze orzeł w obłokach, czajka skihli nad rudą, a niebem płyną czarne chmury, a ziemia coś stęka, aż się król dzikiego tabunu koni porwał, i uchem strzyże i wietrzy chrapami.

Pokazały się z traw ostre spisy, wieją kraśne wierzchy kołpaków. To kozacy — śpieszą... Dokąd? wie Bóg i pan Ataman! a nie wiedzieć: czy ich chmura wyprzedzi, czy oni chmurę... Ta gdzie, gdzie jej sprostać! pozostała w tyle, i z ciężkiego zasumowania rozlała się deszczem, zmiatając pył, co został za kozakami. Polecieli.

Pan Ataman na przedzie na koniku czesze, aż się wszyscy djabli śmieją, i patrzą z piekła na jazdę kozacką. Za nim wierna drużyna. Kiedy niekiedy to szabla brzęknie, to koń zarży, to kozak zaklnie, że djabli mają wroga, by go posiekać na kapustę! Lecą. Orzeł zawisł w powietrzu, patrzy na kozaków i myśli: Wraże dzieci! muszę przystać do Kosza, by takiego lotu zaprobować.

Koło mogiły, pan Ataman zatrzymał karego. Doleciał go dźwięk teorbanu, słyszy dumkę śpiewaną; a dumy nie słuchać grzech, bo mądre jej słowa i dobrą naukę dają.

— Panowie mołojcy! — rzekł — spocznijmy tu c z a s y n ę! posłuchamy starego kobzarza.

— Dobrze *bat'ku* — odpowiedzieli kozacy, zsiadając z koni — posłuchamy! Niechaj dziad śpiewa; zawsze coś wyśpiewa.

— *Zdorow didu!* — huknął Ataman. — Śpiewaj kozakom, a do kalety przybędzie.

— Hej skoryś płacić za pieśni! — ozwał się kobzarz. — Pieśń jak słońce; gdy świeci to darem, a zaszło — już go za korzec dukatów nie dostaniesz!

— Stary dziad się gniewa; a to było powiedziane nie ze złego serca. Śpiewaj kobzarzu. Nie jeden z nas posłucha pieśni *uostanne*.

— To i prawda! — odrzekł dziad poważnie, i począł stroić instrument.

Przebiegł palcami po strónach; brzęknął zcicha, jakby coś mówił w tajemnicy ze swoim teorbanem; dotknął basu, przebiegł po środkowych, wreszcie całą ręką po strónach uderzył, i z pełnej piersi zaśpiewał pieśń, po każdej zwrotce przygrywając na teorbanie:

„Oj zazula w lesie kuka, że ją słychać w koło.
„Pan Ataman z młodą żoną bawi się wesoło.
„Zabawia się pan Ataman, aż mu w duszy miło —
„Ani wie, że w Ukrainie l i c h o s i ę w k o i ł o.
„Wkoiło się ciężkie licho: turek rżnie i pali.
„Hej hulali kozaczeńki, zadługo hulali!
„Nie trza było pić sywuchy i miodu bez miary,
„Nie puściliby na stepy bisurmańskiej wiary!“

Pogładził poważną brodę, i zlekka przygrywa na teorbanie. A pan Ataman coś bardzo zasumował się; patrzy na kobzarza i pieśni słucha.

„Podjechali kozaczeńki pod cisowy dworzec:
— „Wychodź, wychodź Atamanie! rozwijaj proporzec.
„Rzucaj w domu dziecię małe i wierną drużynę,
„Popłyniemy rzeką Dnieprem do turka w gościnę.“
„Siada na koń pan Ataman. Żona z żalu mdleje.
— „Nie płacz, droga! ja powrócę! miej dobrą nadzieję.
— „Oj nie rzucaj orle pyszny żony nieszczęśliwej!
„Choć powrócisz zdrów i cały — mnie nie znajdziesz żywej.“

— *Didu!* — wykrzyknął Ataman — to o mnie pieśń ta; to słowa mojej żony!...

Kobzarz nic nie odpowiada; tylko śpiewa dalej:

„Wraca z wojny pan Ataman, wiezie mnogie łupy,
„Ta spotyka na swej drodze krew i ludzkie trupy.
„Leci strzałą do futoru, do żony niebogi.
— „Co to bracia za mogiła nowa koło drogi?“

Ataman zbladł jak chusta; a dziad drzącym głosem dośpiewał:

„*Dożywże ty Atamane łychoji hodyny!*
„To mogiła twego dziecka i wiernej drużyny.“

— Dosyć! — wykrzyknął Ataman, porwawszy się jak sokół z mogiły. — Niech ci woron ślepe oczy wykłuje za twą dumę przeklętą. Na koń bracia! tam moja drużyna i jedyne dziecię!...

Jak stado sokołów, za swym przewódzcą, polecieli kozacy w ślad za Atamanem! i za chwilę tylko chwiejące się wierzchy traw wskazują gdzie znikli stepowe dzieci.

Kobzarz smutnie zwiesił głowę na piersi, i łzą mu zabiegło ślepe oko.

— Hej dolo ty, dolo łukawa — westchnął z całej piersi — tak i mnie zdradziłaś, niewierna! Czy w ślepym kobzarzu pozna kto Szwajkę, dzielnego watażkę kozaków, co mu turek na carogrodzkim bazarze wybrał oczy gorącem żelazem?..

Westchnął, przewiesił teorban przez plecy, i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poszedł burzanami ku wschodowi. Może zajdzie do ludzkiej siedziby, a może stare kości złoży gdzie w czaharze, wilkom na pożarcie...

. . . .

Oj wywróżył że ty ślepy kobzarzu złą dolę atamańską!

Z ojczystego futoru znalazł Ataman kupę gruzów i garść popiołu. Dobrzy ludzie pokazali mu mogiłę dziecka i żony.

Wywróżyłeś lirniku! ale nie wszystko — nie było końca twej pieśni: pan Ataman jak przypadł szeroką piersią na mogiłę, tak i nie wstał więcej. Pilno mu było do żony i dziecka. I leży koło nich do dzisiaj.

Atamańska mogiła widnieje zdaleka. Czasem na niej usiędzie kobzarz z swą lirą, i zaśpiewa dumkę tęskną; czasem głodny wilk zawyje, szukając karmi dla swych dzieci; a wiatr trawą chibocze i cichy rozhowor wiedzie. Nikt nie podsłuchał tego rozhoworu, a choć i słyszał, to nie rozumiał mowy mogił i stepowego wiatru!...

Z Hejnego.

(*Neuer Frühling.*)

Zawitał maj.

Zawitał maj zielony,
Wonieją kwiaty, drzewa,
Z dalekiej wiatr gdzieś strony
Różowe chmurki zwiewa.

Słowików chór w gęstwinie
O złotej dzwoni wiośnie,
W zielonej tam dolinie
Fujarka brzmi rozgłośnie.

Na wonnem ziół kobiercu
Zbolała pierś się skarzy:
I smutno, tęskno sercu,
Sam nie wiem o czem marzy...

Niebieskie oczy.

Tak miło patrzą na mnie
Niebieskie oczka twe,
Że w zdradnej marzeń przędzy
Usidlasz serce me.

Niebieskie oczka twoje...
Już ono ciągle śni,
Niebieskich myśli morze
Zalewa duszę mi.

Biała róża.

W najściślejszym serca nasze
Związku zostawały.
Czułem, tulon u twych objęć,
Jak miłośnie drzały.

Ach! przy piersi tylko skryta
Twoja róża biała,
Biedna uczuć pośredniczka,
Krasę postradała.

Fijołki i róże.

W dzień ci fijołki skromne niosę
Rankiem w lesie uzbierane,
Wieczór róże wonne w darze
Szarym zmrokiem pozrywane.

Wiesz, coć szepcą kwiatki lube,
Gdy je pieścisz w twojem oku?
Serce dla mnie chowaj we dnie,
A całuska daj o zmroku.

Pierwiosnki.

Czy raz pierwszy szczęście świta?
Snom mym pierwsze wschodzą zorze?
Pierwszyż kwiatek mi zakwita?
I całusek pierwszy może?...

Ach, ja znam te sny tęczane,
Które lada wiatr rozprószy:
Jak śnieżnymi wichry zwiane
Skorupieją kwiaty — dusze.

I jak później chłodniejemy
Z wiosną uczuć pogrzebaną,
My, co mocno tak czujemy
Kiedy życia wschodzi rano.

...*k.* ...*ski.*

CZYHRYN.

(Z Szewczenka.)

Czyhrynie, Czyhrynie!
W świecie wszystko ginie,
I prześwięta twoja sława,
Niby pyłek, płynie
Zimnemi wiatrami gnana,
Aż gdzieś w chmurach ginie.
Po nad ziemią czas przelata,
Wysycha Dniepr miły,
Mogiły się rozsypują,
Wysokie mogiły —
Twoja sława!... i o tobie,
Starcze mój bez siły,
Nikt i słowa nie przemówi,
I nikt się nie dowie:
Gdzieś stał dawniej,
W którem miejscu?...
Nikt na śmiech nie powie!

Zacoż walczyliśmy z Lachami!
Zacoż my rżnęli się z Ordami!
Zacoż oraliśmy spisami
Moskiewskie ziobra? Zasiewali
I krwią ciepłą polewali,
Szablami radlili...
Coż zrodziło się na niwie?...
Ruta, ruta się zrodziła,
Co swobodę nam zabiła!...

A ja, nieszczęśliwy, na twoich ruinach
Marnie łzy wylewam. Śpi ma Ukraina!
Burzanami, chwastem okryła się cała,
Po sprośnych kałużach serce swe zgnoiła,
I w chłodne to dziupło gadów napuściła.
Tę nadzieję
Wiatr rozwieje,
Morska fala ją zalała.
Niechajże wieje wiatr, roznosi
Ją skrzydłami niecięten!
Niechaj serce płacze, prosi:
Świętej prawdy na tej ziemi!

Czyhrynie! Czyhrynie!
Druhu mój jedyny!
Przespałeś ty stepy sine,
Przespałeś Wkrainę!
Śpij, żydostwem upowity,
Zanim słońce wstanie,
Zanim małe pacholęta
Wzrosną na hetmany!...
Jabym również pragnął zasnąć;
Lecz dumy, poczwary
Rwą mi serce przez połowę,
W duszę, leją — czary...
Nie szarpcie, nie palcie duszy!
Może wrócę znowu
Moją prawdę skromną, cichą,
Me ubogie słowo.
Może ja wykuję z niego
Do starego pługa
Nowy lemiesz i czeresło...
A choć praca długa,
Może przełóg ten zaorzę,
Łzy weń rzucę z wiosną...
Wzejdą może i wyrosną,
Na przełogu, noże,

Co rozerwą serce zgniłe,
Sprośną krew wyleją,
Na jej miejsce żywą, świętą
Krew kozacką wleją.

Może?... może?... A wśród noży
Ruta się rozwinie
Wraz z barwnikiem, i me słowo
Ubogie nie zginie.
Słowo moje ciche, smętne
Przypomną potomni
I dziewicze serce zadrzy,
Imie moje wspomni...
Mój ty raju, drogi kraju!
Śpij Czyhrynie! niechaj ginie
Naszym wrogom dziecię.
Śpij hetmanie, zanim wstanie
Prawda na tym świecie!

Marzenia wieczorne.

Pieśń ma dźwięczy dziś bez echa,
Jak na puszczy głos,
Już się niebem nie uśmiecha...
O, smutny mój los!

Nie ma dzisiaj przyjaciela,
Zwiądł radości kwiat,
Nikt mych cierpień nie podziela
Pośród życia strat.

A nadzieję, co tak cudnie
Wije wieniec z róż,
Co swym czarem wabi złudnie,
Pieśń rzuciła już!

Chatka ojców mych w żałobie,
W nią uderzył grom,
A najdrożsi moi w grobie,
Pustką stoi dom...

Zwiądł i wianek ten mirtowy,
Co miał raj mi dać,
Pieśń rzuciła strój godowy,
Nie chce róże rwać...

W pieśni nie ma już wesela,
Bo smutny mój los!
Nie mam brata, przyjaciela
Zmilkł pociechy głos!...

Skarby życia mi zabrali,
Ah! za jaki grzech?
Za ofiarę serca, dali
Mi szyderstwa śmiech!...

Malwina W.

Pan Marek.

Obrazek stereotypowy.

IV.

Intermezzo.

Minęło kilka miesięcy.

Jesteśmy w saloniku kobiecym, wytwornie umeblowanym, pełnym kwiatów i woni.

Na małej kozetce widzimy siedzącą »białą różę.« Gustowny, elegancki stroik, który zastąpił dziś miejsce ubogiej sukienki, podniósł jej wdzięki, w szesnastym roku życia jaśniejące całym urokiem piękności. Gęste sploty jasnych włosów zaczesane nie bez pretensji spadały z pewną ujmującą niedbałością na białą, wypielęgnowaną dziś szyjkę. Oczy jaśniały wyrazem szczęścia, którem przemawiała cała twarzyczka dziewczęcia, przecudnie uśmiechnięta!...

Nasza kwiatarka siedziała nad wiankiem z białych róż, który misternie zwijała niebieską wstążką. Od czasu do czasu przykładała go sobie do włosów, i z naiwnym figlarnym uśmiechem spoglądając w źwierciadło, nuciła półgłosem z Beranger'a:

Mon Dieu, vous m'avez bien doté...

Na stoliku leżało kilka książek, kałamarz, papier i pióro. »Biała róża« uczyła się czytać i pisać. We wszystkiem było widać troskliwą rękę, która starała się pomieszkanie to uprzyjemnić pod każdym względem.

Dziewczę przestało nucić, i pobiegło do okna.

— Mój Boże!... tak długo każe na siebie czekać!... niedobry, niegodziwy Marek!...

Wzięła jedną z róż, i zaczęła obrywać listki...

— Kocha... nie kocha... — szeptała, a białe listki padały na ziemię...

— Tak jest!... kocha!... będzie kochać!... — i klaszcząc w dłonie pobiegła znów do okna.

Do sieni kamienicy wszedł słuszny młody mężczyzna... Był to Marek.

U drzwi potrącił o kogoś; obejrzał się, i poznał odartego Gorge'a...

. . . .

V.

W Brzozowie.

Opuśćmy nieswojski nam Paryż i naszego bohatera, i odetchnijmy rodzinnem powietrzem.

Po ostatnich obrazach, które przesnułem przed tobą szanowna czytelniczko, jakżeż sympatycznym wyda ci się dworek w Brzozowie, do którego teraz zajrzyjmy!...

Był to jeden z pięknych wieczorów jesiennych. Słońce nie paliło już jak w lecie, ale łagodnem spojrzeniem obejmowało przyrodę; w powietrzu unosiły się złote nitki jesienne, i w blasku słonecznym mieniły się tęczowemi kolory... Na drzewach żółcił liść, rozłożyste lipy potrząsały jeszcze gdzieniegdzie zielonością, a kalina kraśniała jagodami... W całej przyrodzie rozlany był ten łagodny spokój, jakim przemawiają poważne oblicza ludzi zbliżających się do starości.

Na brzozowej kanapce pod lipą siedziała pani Jarczyńska, u stóp jej Marja z książką w ręku.

Matka Marka źmieniła się bardzo. Dwa lata przeżyte bez widzenia syna zbieliły jej włosy i zorały twarz w liczne zmarszczki. Tajemne cierpienia dręczyły biedną staruszkę.

Marja wypiękniała i spoważniała jeszcze więcej. Z tym dziwnym, wiecznym smutkiem rozlanym na jej twarzy

z tą powagą cichą i tak kontrasującą z wiekiem — sprawiała wrażenie posągu, ale posągu ożywionego myślą i uczuciem!...

— Marjo — rzekła staruszka — podaj mi mój modlitewnik... Czegoś mi ciężko na duszy... jakiś straszny, niewytłumaczony niepokój dręczy mnie...

— Matko droga!... cierpienia zsyła nam niebo... Wytrwałości!... — przemówiła Marja, całując jej rękę.

— O, dziecię moje kochane!... tyś jedyną pociechą mego życia!... ty jedna słodzisz mi te przedśmiertne chwile, dawno już zatrute...

Dwie łzy potoczyły się po twarzy pani Jarczyńskiej, i upadły na czoło przybranej córki.

— O nim już nie myślę... Straciłam nadzieję, by kiedy chciał do nas powrócić... Marek zapomniał już o rodzinie, zapomniał o matce, i nie ma już dla niej miejsca w jego sercu!...

Marja milczała. Nie śmiała łagodzić boleści macierzyńskiego serca czczem przypuszczeniem nadziei, którą sama straciła już dawno.

Na stoliku przed kanapką leżał przywieziony przed kilku godzinami z poczty list z Paryża. Widocznie śpiesząc się, pisał Marek niedbale:

›Kochana mamo! Nie myślę wcale powracać do Brzozowa. Proszę jak najprędzej wysłać mi pieniądze, bo odebrane przed miesiącem wyczerpią się wkrótce. Ciesząc się zdrowiem mamy, zostaję zawsze kochającym synem. Marek.

P. S. Marję proszę pozdrowić.‹

Listy takie każdą razą głęboko raniły serce matki. Na troskliwe z jej strony zapytanie o zdrowie, o zajęcie, na prośby o przyjazd choćby dwutygodniowy tylko do domu, na łzy i błogosławieństwa odpowiadał syn podług powyższego wzoru.

Przywiązanie Marji osładzało jej chwile cierpień. Tuląc sierotę do rozżalonego serca, nazywała ją aniołem, którego jej Bóg zesłał w boleści.

O szczęściu już jednak dawniej rojonem... o połączeniu Marji z Markiem nie marzyła... Z myślami temi pożegnała się już dawno!...

Przyczyniły się do tego pewne niedawno zaszłe zmiany. Od kilku miesięcy zaczął bywać w Brzozowie pan Stanisław Orsza. Był to jeden z nielicznej młodzi naszej, która poświęciwszy się naukom, płonąc zapałem do pracy, odpowiadała godnie swojemu powołaniu.

Pan Stanisław ukończywszy uniwersytet, poświęcił się rolnictwu, i po kilkoletniej pracy w tym zawodzie potrafił o własnych siłach zdobyć sobie niezależne stanowisko. Zostawszy gospodarzem nie zapomniał o obowiązkach swoich. Uprawiając rolę, pracował dla ludu w swojej wiosce, którego zaufanie i miłość rzetelnem i prawem postępowaniem umiał sobie zjednać. Starał się ulepszyć jego dolę datkiem, zachętą i radą... więc go błogosławili starzy i młodzi we wsi, i szanowali jak ojca.

Wioska, którą odziedziczył po rodzicach leżała w sąsiedztwie Brzozowa.

Stanisław zrobił wizytę pani Jarczyńskiej. Niepowierzchowne wykształcenie połączone z ogładą, nabytą na najwykwintniejszych salonach stolicy nie mogło ujść uwadze naszych kobiet. Pani Jarczyńska należała wkrótce do głośnych wielbicieli Stanisława.

A Marja?...

Na Marji zaczynał on wywierać pewne wrażenie, które z każdym dniem rodziło w sercu jej coś więcej, aniżeli sympatję... Podbił ją sobie odrazu swoją wyższością umysłową. Zdanie jego uważała za wyrocznię.

Nie mniej oddziaływała Marja na Stanisława tym pięknym łzawym urokiem smutku. Zbliżał się do niej z pewną czcią, z jakiemś niewytłumaczonem, świętem uszanowaniem.

Była to cześć oddawana sieroctwu, które czytał na jej bladej twarzy.

Mijały dnie, miesiące. Tymczasem Stanisław bywał co raz to częściej w Brzozowie, i coraz to milszym gościem był dla staruszki i Marji.

Marja porównywała go w myśli z Markiem. Porównania te wypadły ma się rozumieć na największą niekorzyść ostatniego. Coraz więcej poznając Stanisława, znajdowała rażące różnice między jednym a drugim. Obraz Marka ustępował z jej serca coraz to więcej, malał z każdym dniem, nakoniec znikł w mgle zapomnienia. Czy będziemy się temu dziwić?... Przeciwnie, obraz Stanisława coraz to silniej zarysowywał się w młodem jej serduszku. Była częściej zamyśloną niż zwykle, czasami dziwnie znowu roztargnioną, niespokojną. Jakieś niewytłumaczone jeszcze dla niej uczucia rodziły się w sercu Marji...

Spostrzegła tę zmianę staruszka.

Pewnego razu, gdy Marja siedziała zamyślona nad książką pożyczoną przez Stanisława, zapytała ją niespodzianie:

— Marjo! powiedz mi... o czem dumałaś?...

Rumieniec wybiegł na twarz dziewczyny.

— Czytałam książkę — odpowiedziała cicho.

— Dziecko moje... ja czytam w twem sercu... Nie ukrywaj się przedemną...

— Mameczko droga!... — odezwała się z wyrzutem Marja, i mieszając się jeszcze bardziej, pocałowała ją w rękę.

— Marjo!... uważałam oddawna, że Stanisław ci sprzyja... ty go kochasz...

Zamiast odpowiedzi, zapłonione dziewczę skryło główkę na piersi przybranej matki, oblewając gorącemi łzami jej ręce.

W tej chwili zaturkotało coś na dziedzińcu, powóz zajechał przed ganek.

Był to Stanisław.

Pani Jarczyńska spodziewała się, że wkrótce nastąpią oświadczyny. Stanisław okazywał coraz to jaśniej, że Marja nie jest mu obojętną. Brakowało tylko jeszcze zwykłej formalności. Stało się i temu zadość.

Stanisław oświadczył się, i tego samego jeszcze wieczora sędziwa pani Janowa z uradowanem sercem, błogosławiła młodej parze.. (D. n.)

Teatr.

Myśl o wyjeździe do Lublina, zabiegi o dyrekcję trzeciego teatru w Warszawie nie są bez związku z obecnem gospodarzeniem pana Miłaszewskiego na scenie naszej!...

Nowy rok teatralny nastręcza nowe dowody jak pan dyrektor pojmuje swoje obowiązki!... Oto pozbawił nas pan Miłaszewski najbardziej utalentowanej pary artystów — państwa Nowakowskich, którzy zrażeni tysiącznemi szykanami opuścili scenę Lwowską, z mocnem postanowieniem niewracania na nią, jak długo dyrektorem będzie człowiek, który wysila się na składanie dowodów, że niezasłużenie spotkał go zaszczyt kierownictwa sceną, która z natury rzeczy zajmuje pierwsze dziś stanowisko.

Role pana Nowakowskiego zamierza objąć sam dyrektor, przy pomocy pana Koncewicza; wynagradzając zaś stratę pani Nowakowskiej pozyskał teatrowi dwie nowe siły, w osobie panny J. Popielówny i pani Słotwińskiej, stanowczo raz już zdecydowawszy się role p. Aszpergerowej powierzyć pani Miłaszewskiej, swej żonie.

Występy debiutantek i pani Miłaszewskiej uprawniają nas do udzielenia im rady, która ma na celu korzyść ich i publiczności. Panna J. Popielówna nie powinna wstępować na scenę dla braku twarzy scenicznej i przyrodzonej lekkości ruchów. „Szkoda czasu i atłasu“ zostawać aktorką dla tego, ażeby po roku być zmuszoną opuścić scenę na zawsze... Pani Słotwińska, gdyby nawet posiadała talent, to dla zepsutego organu zawsze będzie z przykrością widzianą na scenie. Pani Miłaszewska, jako dyrektorowa, niewątpliwie będzie dość często uszczęśliwiać nas swoim widokiem na scenie i cieszyć się nawet wielce przychylną recenzją „Dziennika Lwowskiego,“ mimo to... lepiej będzie dla niej i dla publiczności, jeśli zechce uważać się za nieistniejącą dla sceny polskiej, która najwidoczniej nie umie zużytkować jej talentu tak bardzo wychwalanego w swoim czasie przez artystycznego kierownika sceny Żytomierskiej!...

Nową zasługą dyrekcji jest wprowadzenie baletu... Tak jest! mamy balet; ale kto by chciał powziąć przekonanie: o ile sprawiedliwem jest zaliczenie tańcu do sztuk pięknych — niechaj ucieka przed widokiem baletu pana Miłaszewskiego!

Uszczęśliwił nas dyrektor nowym przysmakiem kuchni Offenbachowskiej *Straganiarkami*, któren smakując mu wielce, nas zmusił do wydatku na lekarstwo apteczne... Nowością wreszcie najświeższą, chociaż niezupełnie świeżą, jest *Posażna jedynaczka*, nowa komedja hr. Aleksandra Fredry, która, jak poprzednie utwory, dając dowód talentu autora, coraz bardziej upewnia, że na ślizką drogę prowadzi ten pisarz scenę polską, na drogę po której iść nie chciała i oby nie szła nigdy! Farsa nijaka w założeniu, o scenach bardziej aniżeli dwuznacznych, zaprawna konceptami, które dowodzą zepsucia smaku — to żywioł Fredry! Talent to niezaprzeczenie pierwszorzędny, ale gdy dalej pójdzie tą drogą — zamiast korzyści, przyprawi nas o wielkie straty... Wymagamy, by scena była godną swego nazwiska, nigdy zaś budą pajaca!

Nie wchodzimy w szczegółowy rozbiór komedji, bo zbyt mało da się powiedzieć o sztuce, której założenie jest takie, że ojciec pięciu córek wychowuje każdą w tej pewności, iż jest jedynaczką tylko, i to w chęci korzystnego wydania ich za mąż, a korzystnego dla siebie — gdyż po wydaniu córek, posag ich sobie zatrzymuje, żeniąc się po raz drugi!... Zwracamy uwagę autora na jedną scenę komedji, a nawet prosimy o jej zupełne wykreślenie; tej mianowicie, w której jest mowa o córce z lewej ręki... i zalecanie się do niej na scenie tak wstrętne, że potrzeba nie małej odwagi, by przed jej rozpoczęciem nie wyprowadzić z teatru kobiety, nieoswojone z przedstawieniami utworów zagranicznych...

Oto co mówi nasz korespondent o drugim najnowszym utworze hr. Fredry p. t. *Basza i Ułany* przedstawionym w Krakowie.

„Oryginalności tej sztuce odmówić niepodobna, ale jestto jej jedyną zaletą. Temat na którym jest osnutą, nastręczał sposobność do rozwinięcia humoru i dowcipu na wielką skalę; tymczasem daje się w niej czuć zupełny brak tego *nervus rei*, który musi wspierać każdą komedję, a przedewszystkiem krotofilę napisaną wyłącznie dla zabawy publiczności. Przytem każda chociażby najmniejsza fraszka sceniczna wymaga jakiegoś zawikłania, intrygi; cóż więc powiedzieć o trzyaktowej sztuce, w której tego zupełnie nie ma? Składa się ona z samych naciągniętych scen, ożywionych gdzieniegdzie ślizkim konceptem, mogącym rozśmieszyć tylko galerję. Są tam koncepta i igraszki słów, których powtórzyć nie można w porządnem towarzystwie, a więc i w dzienniku. Ażeby dać dowód jak mało autor oglądał się na względy moralności, dosyć jest przytoczyć piosnkę, którą markietanka śpiewa:

Fasola i rosół
Z mięsa bawolego,
Już mi się sprzykrzyły,
Pragnę coś lepszego.

Sorbety, łakocie,
Konfitury lubię,
Niech mnie Turek karmi,
Duszy tem nie zgubię.

Jeżeli dodamy, że markietanka w ten sposób tłomaczy swoją ucieczkę do haremu Baszy, to każdy łatwo oceni jaką wartość ma ta sztuka pod względem moralnym. Na wykonanie tej farsy autor użalać się nie może, bo usiłowania artystów były najszczersze. Sztukę utrzymać jeszcze mogła muzyka, lecz i pod tym względem zawiedzone zostały oczekiwania publiczności. Oprócz kilku arji wyjętych ze znanych powszechnie oper, reszta tak była ogołoconą z wdzięku i polotu, tak monotonna, że nie mogła sprawić dobrego wrażenia. Każdy z wykształceńszych słuchaczy wyniósł z przedstawienia *Baszy i Ułanów* to głębokie przekonanie, że jeżeli autor, który zaczął swój zawód tak świetnie ograniczy się na pisaniu takich fars podejrzanej moralności jak *Basza i Ułany*, to talent jego uważać można za zmarnowany...“

Nie możemy nie wspomnieć na tem miejscu o liście pana Miłaszewskiego, wystosowanym do redakcji „Dziennika Poznańskiego,“ a powtórzonym przez „Dziennik lwowski,“ w którym dowodzi, że od lat czterech podnosi scenę z upadku, a to: dając odgrzewane farsy niemieckie, dla tego tylko, że publiczność w nich smakuje... Piękne świadectwo dane, przez dyrektora, naszej publiczności!...

Krytyki, recenzje teatralne są zdaniem p. Miłaszewskiego, wynikiem zawiści pewnej koterji, zapoznającej jego zasługi długoletnie dla sceny polskiej... on sam jest wykształconym człowiekiem i znakomitym dyrektorem, a p. Nowakowski jest taką miernotą, że go z wszelką łatwością będzie mógł zastąpić talentem własnym i innym, ukrywającym się pomiędzy statystami.

Jeżeli kraj nie znał jeszcze p. Miłaszewskiego, to go pozna z listu — arcydzieła w swoim rodzaju... Jeśli koterja za mało wpływała na zdyskredytowanie dyrektora, to własny jego list usłużył jej bardzo... i jeśli wreszcie nie dość pochwał dawano talentowi p. Nowakowskiego, to publiczna nagana p. Miłaszewskiego brak ten wypełniła.

Rozmaitości.

* W Wenecji odbyło się uroczyste złożenie do grobu przywiezionych z Francji zwłok Manina, (byłego prezydenta republiki wenecjańskiej w roku 1848.) Z dworca gondolą przywieziono je do kościoła świętego Zaccaria. Tysiączne gondole towarzyszyły po drodze. Widziano w nich wielu członków senatu i Izby deputowanych, znakomitości krajowe i obce, także i kilku członków rządu tymczasowego i zgromadzenia narodowego z roku 1848 i 1849. Miasto powiewało żałobnemi chorągwiami, gwardja narodowa na noc dała straż honorową dla ciała, a ludność wszędzie okazywała szczery żal nad stratą znakomitego obywatela i patrjoty. Od roku 1849 mieszkał Manin ciągle we Francji i dopiero zwłoki jego przeniesiono na powrót do ojczyzny.

* „Wiedomosti Odeskie“ donoszą szczegóły w wykopaniu skarbu w powiecie Elizabetgrodzkim w gubernji Chersońskiej. Znajduje się tam parów zwany Zaporoskim, a sama ta nazwa wskazuje, że przebywali tam kozacy zadnieprscy. Jeszcze w zeszłym wieku, jak niesie podanie, ukrywali się w nim hajdamacy i ztamtąd wychodzili na wyprawy. W parowie tym jest głęboka studnia kamienna, lecz zasypana po części. Lud utrzymywał, że w tej studni są ukryte skarby. Ojciec dzisiejszego dziedzica wsi Nikolskiej, do którego ów parów należał, Żuchowski poszukiwał w tej studni skarbów przed laty kilkudziesięciu. Wiedział o tem ekonom Zyczewski, zabrał się w roku zeszłym w końcu kwietnia z dwoma włościanami do roboty, nie kopiąc w głąb jak dawniej próbowano, lecz rozebrali kamienną cembrynę studni, po za którą dostrzegli też wielką kamienną płytę. Odwaliwszy ją znaleźli kocioł, który wcale nie zaśniedział, lecz lśnił jak złoto, z czego prawdopodobnie możnaby wnosić, że był złoty. W kotle była wielka ilość złotych pieniędzy tureckich, holenderskich i moskiewskich już z czasów Katarzyny II. co wskazuje, że skarby te zakopali dopiero hajdamacy w zeszłym wieku. Odważyli pieniądze, było ich 360 funtów. Podzielili się niemi na trzy równe części i zaprzysięgli sobie nawzajem, przed nikim się nie zwierzać. Zyczewski odwlekał ciągle wymianę tych pieniędzy, aż wreszcie za wspólną namową dali znać miejscowej władzy.

* Sennora Pepita słynna z wdzięków i tańca, *la diva*, jak ją niegdyś zwali niektórzy entuzjaści, zgasła w kwiecie wieku we Włoszech, pozostawiając znaczny majątek w monecie brzęczącej i dobrach. Sukcesorami jej dwoje nieletnich dziatek. Tak donosi jeden z dzienników niemieckich.

* Głośna aktorka tragiczna Ristori występuje teraz w Hawannie. Jedna z jej ról, „Siostra Teresa,“ przedstawiająca zakonnicę, bez ujmy wszakże religji, ściągnęła na artystkę burzę ze strony duchowieństwa, od której jednak obronił ją gubernator Lersundi, a postępowanie jego w tej sprawie pochwaliło ministerstwo hiszpańskie w Madrycie.

* Nowy tenor. Wiadomo, jak rzadkimi są dzisiaj tenorzyści. Ztąd ruiny nawet takie, jak Roger, Carrion i Tamberlick jeszcze są w braku lepszych śpiewaków poszukiwani. Otóż udało się podobno dyrektorowi opery paryzkiej panu Carvalho wynaleść przypadkiem nowego tenora, którego nazwisko przecież osłonięte jest dotąd tajemnicą. Syn ubogiego komornika nucił, pasąc baranki, rzewną piosnkę. Przechadzająca się właśnie śród pól zielonych właścicielka dóbr pani d'Assilly, uderzona przecudnym śpiewem chłopięcia, wzięła go do zamku i kazała kształcić własnym kosztem w Paryżu. Z chłopięcia dorósł młodzieniec, którego głos tak ma być piękny, iż dyrektor opery po jednej tylko próbie zaangażował go z góry na lat trzy. W pierwszym roku pobierać będzie 6000, w drugim 9600, w trzecim 12.000 fr. W sierpniu po raz pierwszy wystąpi na scenie.

* W Poznaniu przed miesiącem stawała do stosownego egzaminu handlowego kobieta pragnąca założyć księgarnię; rodem ona jest z Poznańskiego, i chce osiąść w jednem z miast Pomeranji.

* W Turynie ma wychodzić „Gazeta złodziejska“ *Gazetta dei lardi* w tygodniowych zeszytach i zamieszczać będzie wszystkie kradzieże, rabunki, oszustwa, uwodzenie osób, aresztowania itd. Dziennkowi temu, sądzimy, nie zabraknie materjału, ani czytelników.

* Amerykański humbug. „Illinois Staats Ztg.“ wychodząca w Chicago w języku niemieckim, podaje następujący ciekawy anons: „Pani Adelaida zdolną jest za pomocą horoskopu przedstawić każdej panience obraz jej przyszłego męża, z oznaczeniem nazwisk, stosunków majątkowych, zatrudnienia, dnia zaślubin, szczęścia w pożyciu małżeńskim, oraz całą przyszłość. Tysiące świadectw potwierdzają zdolność pani Adelaidy spełnienia co do joty powyższych obietnic i gotową jest każdej chwili zwrócić pieniądze osobie, którejby nie przepowiedziała prawdy. Należy podać wiek, cerę twarzy, kolor włosów i oczu, oraz dołączyć pół dolara. Odpowiedź nastąpi pocztą odwrotną. Adresować trzeba z zaręczeniem dyskrecji, do pani Adelaidy, box 1267. Chicago. III. Illinois.“

☞ ***Ajencje naszego Pisma, które jeszcze rachunków nie złożyły, prosimy o pośpiech.***

Od Wydawnictwa.

Oznaczając niepraktykowanie niską cenę »Nowin« bo 8 złr. rocznie za pismo tygodniowe z dodatkami mód i muzykaljów, mieliśmy nadzieję, że zniżenie ceny wpłynie na zwiększenie się liczby prenumeratorów tak, że i najuboższy dom polski będzie w stanie zaprenumerować »Nowiny« pismo z przyjemnością łączące pożytek. Potrzebowaliśmy 700 prenumeratorów, by za 4 złr. rocznie dać to w tygodniowym dodatku, co inne pisma dają za podwójną taką sumę; ale praktyka przekonała nas, że mimo wszelkie usiłowania, nie będziemy w stanie dojść do tej liczby prenumeratorów na dodatek, przy nadzwyczajnem rozpowszechnieniu w kraju naszym pism zagranicznych, wyłącznie poświęconych modom. Niepodobna wymagać, abyśmy bezowocnie narażali się na dość znaczne straty... Unikając tego zmuszeni jesteśmy zwinąć wszelkie dodatki do »Nowin.« Osobom, które złożyły na nie pieniądze wliczą się takowe do przedpłaty na Pismo, które tem usilniej będziemy się starali rozwinąć i podnieść.

Dla uniknienia opłaty stemplowej, »Nowiny« odtąd wychodzić będą co dni dziesięć w formacie arkuszowym, każdego zaś pierwszego o dwóch arkuszach. (Razem, jak dotychczas, 52 arkuszy druku.)

Lwów, *dnia 22. kwietnia 1868.*

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.